

Dlaczego należy przejmować się losem brazylijskiej prezydent Rousseff?

6 czerwca 2016

Kto ma nieszczęście czerpać wiedzę o świecie głównie z programów informacyjnych którejkolwiek polskiej telewizji, długo mógł się nawet nie domyślać, że w Brazylii dzieje się ostatnio coś oprócz tego, że nadchodzą Igrzyska Olimpijskie w Rio de Janeiro. Polskie stacje telewizyjne z poświęceniem trzymały się swojej najbardziej ugruntowanej w minionym ćwierćwieczu tradycji: konsekwentnego prowincjonalizmu.

Dotyczy to także kanałów telewizyjnych dla niepoznaki nazywanych „informacyjnymi”. Tymczasem pełzający, parlamentarno-sądowo-telewizyjny zamach stanu, którego ofiarą padła prezydent Dilma Rousseff, przeprowadzony pod pozorami impeachmentu (Senat 12 maja zawiesił Rousseff i przekazał władzę tymczasowemu rządowi) jest jednym z najważniejszych wydarzeń tego roku. Konsekwencje tego, jak ta historia się dalej potoczy (Dilma – Brazylijczycy mówią o niej po imieniu – nie złożyła bowiem broni), będą globalne.

ZAMACH STANU W BRAZYLII

Rousseff od samego początku wymierzonej w nią procedury impeachmentu mówiła o zamachu stanu w białych rękawiczkach. Tak samo nazywali to nie tylko jej wierni zwolennicy, ale także politycy i komentatorzy na lewo od reprezentowanej przez nią Partido dos Trabalhadores, z elokwentnym gwiazdorem Partii Socjalizmu i Wolności (PSOL) Jeanem Wyllysem na czele. Dziś już wiemy, że nie tylko można, ale i należy tak właśnie o tym mówić. Impeachment jest bezpodstawny, Rousseff nie udowodniono żadnego z przestępstw, które brazylijska konstytucja wymienia jako możliwe powody odsunięcia urzędującego prezydenta od

władzy, tzw. „crimes de responsabilidade”. Jest to najzwyklejszy spisek opozycji, która forsuje impeachment, bo zdołała zabezpieczyć wystarczającą liczbę głosów w parlamencie, niezależnie od tego, czy ma prawne podstawy.

Rousseff, postać o naprawdę pięknej biografii, jest wyjątkowym w Brazylii przypadkiem polityczki, nad którą nie ciążyą nawet blade podejrzenia o choćby jeden akt korupcji. Po nagraniach, które opublikował dziennik „Folha de São Paulo”, wiemy już z całą pewnością i bez konieczności spekulowania, że opozycja dążyła do usunięcia Rousseff z pałacu Alvorada w nadziei, że zastąpienie jej dotychczasowym wiceprezydentem Michelelem Temerem pozwoli zarządzić wielkie antykorupcyjne śledztwo pod kryptonimem Lava Jato. Ewentualny sukces tego śledztwa grozi więzieniem dosłownie setkom brazylijskich polityków. Jednocześnie proamerykańska, neoliberalna prawica zyskała w ten sposób możliwość utworzenia rządu, który ze swoim programem drakońskich cięć budżetowych i wyprzedaży państwowych aktywów (m. in. ziemi amerykańskim korporacjom) nie miałby w Brazylii żadnych szans osiągnąć władzy w drodze demokratycznych wyborów.

Oczywiście rząd Partii Pracowników zasługiwał na krytykę, a tarapaty, w jakie wpadł, są niestety logiczną konsekwencją filozofii rządzenia, jaką partii tej narzucił były prezydent Lula da Silva. Filozofia ta sprowadzała się do wprowadzania umiarkowanie postępowych reform i programów społecznych na tyle, na ile to możliwe bez konfrontacji z najpotężniejszymi rodzinami Brazylii i uderzania w interesy oligarchów. Opierała się na wierze, że można (stopniowo) rozwiązać problem biedy, nie rozwiązując problemu bogactwa. Oczywiście, że nie można. Lula potrafił takim układem w miarę skutecznie zarządzać nie tylko dlatego, że ma ogromny talent polityczny (który rzeczywiście posiada; drugą kadencję zamknął z 85-procentowym poparciem społecznym). Także dlatego, że z jego rządami zbiegła się wspaniała międzynarodowa koniunktura na brazylijskie surowce i politykę umiarkowanej redystrybucji

dało się finansować ze wzrostu gospodarczego i z bonanzy eksportowej, nie odbierając nic obscenicznie bogatym brazylijskim elitom. Koniunktura ta to już jednak pieśń przeszłości, a Brazylię dosięgły w końcu skutki światowego kryzysu. Oligarchiczne brazylijskie elity, których władzy i stopnia przywileju kilkanaście lat rządów PT nie próbowało nawet ograniczyć, postanowiły teraz tę władzę wykorzystać, żeby obalić rząd i za pomocą neoliberalnych reform przerzucić na biedniejszą większość Brazylijczyków koszty kryzysu ekonomicznego. Błędy i zaniechania, jeśli chodzi o politykę „nieruszania” oligarchów, widać szczególnie jaskrawo na przykładzie wielkich mediów. W Brazylii wszystkie one są prywatne i znajdują się w rękach właściwie pięciu rodzin (są też mniej lub bardziej prawicowe), a telewizyjna korporacja Globo jest prawdziwą potęgą i ma tradycję popierania prawicowej dyktatury, która rozpoczęła się zamachem stanu 1964 roku. PT nigdy nie odważyła się rozbić tych gigantów, które teraz były aktywnym uczestnikiem gry o obalenie Rousseff.

To, że rząd Rousseff zasługiwał na krytykę z pozycji postępowych, nie zmienia jednak faktu, że siły, które odsunęły panią prezydent od władzy są bez porównania gorsze.

Michel Temer, który wygląda jak ulepiony z żółtawej parafiny jaszczur przebrany w garnitur, nie tylko cieszy się zaledwie 2-procentowym społecznym poparciem, ale ze względu na zarzuty korupcji i innych szwindli ciąży na nim wręcz zakaz kandydowania w wyborach do jakiejkolwiek funkcji publicznej. Został tymczasowym prezydentem, bo był dotychczasowym wiceprezydentem. A wiceprezydentem był dlatego, że partia PMDB, którą reprezentuje, zaczęła tę kadencję w koalicji z Partido dos Trabalhadores Luli i Rousseff, ale potem z tej koalicji wystąpiła i stała się dla rządu Rousseff wrogiem numer jeden.

Temer powołał najbardziej reakcyjny rząd od czasu dwóch dekad prawicowej dyktatury, w całości złożony z białych starców. Bez ani jednej osoby „kolorowej” – w kraju o największej poza

Afryką populacji określającej swoje pochodzenie jako afrykańskie. Bez ani jednej kobiety – z dniem powołania tego rządu Brazylii spadła o dwadzieścia kilka pozycji w międzynarodowym rankingu równouprawnienia kobiet. Siedmiu z tych białych starców ma zarzuty korupcyjne. Wszyscy bezwstydnie reprezentują wyłącznie interesy wielkiej brazylijskiej oligarchii – a także wielkich międzynarodowych, głównie amerykańskich korporacji z pożądaniami spoglądających na brazylijskie zasoby, które niebawem wystawione zostaną przez Temerę na ich łup.

Rousseff wciąż może wrócić do władzy, jeśli procedura impeachmentu upadnie na którymś etapie w terminie 180 dni, który opozycja ma na udowodnienie jej „crimes de responsabilidade”. To, że Rousseff nie jest niczemu winna, nie znaczy jednak wcale, że na pewno wygra, gdyż od samego początku prób usunięcia jej z urzędu wymiar sprawiedliwości udowodnił swoją stronniczość, jeżeli nie po prostu udział w spisku przeciwko niej (bezprawnie podsłuchiowano jej rozmowy telefoniczne, których nagrania natychmiast i równie bezprawnie wyciekały do wrogich rządowi mediów). Również jeśli Rousseff „wygra” całe postępowanie, nie ma pewności, że prawica przyjmie to rozstrzygnięcie i odda władzę. Mówimy o kraju z historią wojskowej dyktatury, której wysocy funkcjonariusze nigdy nie zostali rozliczeni. Już chodzą słuchy, że generałowie, jakby co, są w zasadzie po stronie Temerę. Jest jeszcze możliwy taki scenariusz, że ultraneoliberalna prawica zakłada, że ma władzę tylko na 180 dni, i po prostu w ekspresowym tempie splądruje w tym okresie kraj, wyprzeda państwowe aktywa krewnym i znajomym królikom, anuluje finansowanie programów społecznych stworzonych przez kilkanaście lat rządów PT, zwolni dziesiątki tysięcy pracowników sektora publicznego, obniży płacę minimalną, renty i emerytury, itd.

ZNACZENIE BRAZYLII

Cokolwiek się wydarzy, wpłynie to na kształt świata w

najbliższych kilku latach. A to dlatego, że Brazylia jest jednym z najważniejszych państw na świecie, nawet jeśli trudno na to wpaść, oglądając programy informacyjne polskich telewizji. Brazylia jest piątym najludniejszym krajem świata (205 mln mieszkańców) i przez kilkanaście lat rządów PT była jednym z najaktywniejszych podmiotów na arenie międzynarodowej.

Tak to podsumował Raul Zibechi w swojej książce „The New Brazil”: „W 2003 Brazylia pomogła stworzyć G-20 i zorganizowała szczyt IBSA (Indie – Brazylia – Afryka Południowa). W 2004 odegrała aktywną rolę w utworzeniu MINUSTAH (Misji Stabilizacyjnej Narodów Zjednoczonych na Haiti) i przejęła dowództwo operacji wojskowych. Brazylia utworzyła wraz z Indiami, Niemcami i Japonią G-4, mającą na celu reformę Rady Bezpieczeństwa ONZ. W 2005 miał miejsce pierwszy Szczyt Państw Południowoamerykańskich i Arabskich. W 2006 utworzony został Strukturalny Fundusz Konwergencyjny Mercosur, funkcjonujący jako fundusz transferów gotówkowych z Brazylii i Argentyny na wspieranie rozwoju mniejszych krajów takich jak Paragwaj czy Urugwaj. W tym samym roku miał też miejsce pierwszy Szczyt Południowoamerykańsko-Afrykański. W 2007 ustanowiono Banco del Sur (Bank Południa), a Brazylia i Unia Europejska podpisały strategiczne porozumienie. W 2008 zatwierdzony został Traktat Założycielski UNASUR [Unia Narodów Południowoamerykańskich]. W 2009 Brazylia podpisała porozumienia handlowe z Indiami, zinstytucjonalizowany też został sojusz BRIC (Brazylia, Rosja, Indie i Chiny), a Organizacja Państw Amerykańskich została wezwana do odwołania niegdysiejszego wykluczenia Kuby. Brazylia podpisała też strategiczny sojusz z Francją, którego częścią jest daleko posunięta współpraca wojskowa. W 2010 miał miejsce pierwszy szczyt Ameryki Łacińskiej i Karaibów, w którym nie wzięły udziału Stany Zjednoczone, co pozwoliło na powołanie Wspólnoty Państw Ameryki Łacińskiej i Karaibów (CELAC). [...] Jedyne, czego brazylijskiej dyplomacji nie udało się jeszcze osiągnąć, to pozycja stałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ.”

Również Vijay Prashad, jeden z najwybitniejszych znawców polityki Trzeciego Świata, autor książek „The Darker Nations” i „The Poorer” Nations, przy każdej okazji zwraca uwagę, że Brazylia ma dziś najlepszą dyplomację i dysponuje najlepszymi analizami stosunków międzynarodowych spośród wszystkich krajów BRICS w szczególności i globalnego Południa w ogóle.

Oczywiście, skomplikowane mechanizmy władzy tak wielkiego i zróżnicowanego kraju powodują, że żaden proces nie jest jednoznaczny. Również w ramach brazylijskiej aktywności międzynarodowej zbiegają się różne, nieraz rywalizujące lub sprzeczne, tendencje i interesy. Niektórzy bili na alarm, że Brazylia dąży do pozycji regionalnego mocarstwa, które chce podporządkować swoim interesom mniejszych sąsiadów. Do tego na pewno dążyły brazylijskie elity finansowe z ich stolicą w São Paulo. Inni podkreślają, że struktury BRIC i BRICS, których tak aktywnym podmiotem jest Brazylia, zamiast rzucić odważne wyzwanie neoliberalnemu łaadowi światowemu, w którym bogata Północ bezwzględnie eksploatuje biedne Południe, poprzestały na szukaniu dróg lepszego urządzenia się ramach tego ładu.

Niemniej jednak bilans brazylijskiej aktywności międzynarodowej w ciągu pierwszych kilkunastu lat XXI wieku, a więc w okresie rządów Luli i Rousseff, trzeba ocenić jako pozytywny i niezwykle ważny. Brazylia okazała się jedną z głównych sił stawiających realny opór globalnej samowoli Imperium Amerykańskiego. Brazylijska doktryna obronna zakładała zresztą Stany Zjednoczone jako najważniejsze źródło potencjalnego zagrożenia zewnętrznego (Brazylię od dawna otacza cały kordon amerykańskich instalacji wojskowych, rozłożonych na Karaibach, w Kolumbii, Peru i innych krajach). Amerykański historyk Greg Grandin pisał nie tak dawno, że w naszych ponurych czasach, na początku XXI wieku Amerykę łacińską można było postrzegać jako ostatni bastion Oświecenia. Widać to choćby w tym, że postępowe rządy w tym regionie odmówiły udziału w skandalu amerykańskiej „wojny z terroryzmem” i eskalacji zbrojnej przemocy w stosunkach

międzynarodowych. Mocne stanowisko Brazylii oraz jej polityczna siła na arenie międzynarodowej były jednym z czynników umożliwiających utrzymanie się podobnego stanowiska także przez mniejsze kraje Ameryki Południowej, które samodzielnie mogłoby nie być stać na taką asertywność. Siłę Brazylii i jej zdecydowany opór wobec amerykańskiej dominacji można też postrzegać jako parasol ochronny, który lewicowym rządów w sąsiednich krajach, od Wenezueli do Argentyny i Urugwaju, gwarantował w tym okresie względne bezpieczeństwo przed amerykańskimi „interwencjami”.

MICHEL TEMER I WASZYNGTON

Twardogłowi neoliberalowie, których blok skupił się wokół Temera, reprezentują zupełnie przeciwną brazylijską tradycję polityczną. Tę samą, której przedstawiciel powiedział po zamachu stanu w 1964, że „co jest dobre dla Stanów Zjednoczonych, jest dobre dla Brazylii”. Ich wizja obrony oligarchicznych interesów polega na ponownym uzgodnieniu priorytetów brazylijskiej polityki z interesami Waszyngtonu oraz połączeniu sił z amerykańskimi korporacjami w dziele grabieży Brazylii z jej zasobów. Dzięki serwisowi WikiLeaks wiemy już, że Temer od 2006 roku był informatorem ambasady USA w Brasílii. Na drugi dzień po głosowaniu w niższej izbie parlamentu federalnego, które zdecydowało o skierowaniu impeachmentu Rousseff pod obrady Senatu, Temer natychmiast wysłał jednego ze swoich przydupasów, oficjalnie oskarżonego o korupcję senatora Aloysio Nunesa, do Waszyngtonu. Od 2013 ambasadorem USA w Brazylii jest ta sama Liliana Ayalde, która wcześniej kierowała amerykańską placówką w sąsiednim Paragwaju, gdy w bardzo podobny sposób opozycja usunęła tamtejszego prezydenta Lugo. Kłopoty rządu Rousseff już w okresie poprzedzającym impeachment zdołały obniżyć znacząco profil Brazylii na arenie międzynarodowej, bo walka o przetrwanie rządu pochłaniała tyle energii, że zaczynało jej brakować na aktywność poza granicami kraju (jak choćby w ramach BRICS czy UNASUR). Jeśli neoliberalna prawica utrzyma

teraz władzę w Brazylii, oznaczać to będzie, że ten kraj o tak ogromnym znaczeniu dołączy teraz do grona bezkrytycznych sojuszników Stanów Zjednoczonych, które jednocześnie odzyskają zdolność kształtowania polityki całego kontynentu w zgodzie z własnymi interesami. I stanie się to w momencie, gdy Stany Zjednoczone, od dawna agresywne na arenie międzynarodowej, stają się jednocześnie coraz bardziej nieprzewidywalne.

Wszystko wskazuje na to, że w nadchodzących wyborach prezydenckich w USA pojedynek odbędzie się między Hillary Clinton a Donaldem Trumpem. Odpowiedź na pytanie, który scenariusz – zwycięstwo Clinton czy Trumpa – jest gorszy dla świata, powinna być cytatem ze Stalina: „obydwa są gorsze”. Trumpa należy się bać na podstawie jego obłąkanych wypowiedzi, są to jednak zgadywanki, ponieważ realnych wysokich funkcji publicznych, po których oceniać można by jakąś polityczną praktykę, nigdy on nie pełnił. Clinton była sekretarzem stanu i możemy ją sądzić po uczynkach. Należała do najbardziej agresywnych jastrzębi w gabinecie Obamy. Ma na sumieniu zbrodnie wojenne w Libii i spiskowanie przeciwko Asadowi celem doprowadzenia do amerykańskiej interwencji w Syrii (dostarczanie rebeliantom broni chemicznej, o której użycie oskarżony miał być następnie reżim Asada). Uchodźcy, którzy uciekają dzisiaj z Libii i Syrii do Europy, są ofiarami m. in. Hillary Clinton.

Prezydentura Baracka Obamy na płaszczyźnie międzynarodowej zawiodła wszystkie pokładane w niej postępowe nadzieje i okazała się brutalną kontynuacją polityki George’a W. Busha. Jeżeli chodzi o podminowujące prawo międzynarodowe praktyki użycia dronów i zabójstw pozasądowych jako metody walki politycznej nawet na terenach krajów, z którymi USA nie są w stanie wojny, administracja Obamy okazała się nawet bardziej katastrofalna niż administracja Busha. Ale wiele wskazuje, że sprawy potoczyły się tak wbrew woli Obamy. Świadczy o tym jego determinacja, by dopiąć negocjacje z Iranem, napięcia z premierem Izraela Benjaminem Netanjahu, a nawet to, że nigdy

nie przestał obiecywać zamknięcia obozu Guantanamo. Obama, ze wszystkimi ustępstwami, na jakie musiał iść w zamian za to, że łaskawie wybrano „pierwszego czarnoskórego prezydenta”, okazał się politykiem tragicznie słabym, zbyt słabym, by powstrzymać roszczenia tego, co Eisenhower określił w 1961 mianem „military-industrial complex”. Różnica między dobiegającą końca prezydenturą Obamy a nadchodzącą potencjalnie prezydenturą Hillary Clinton polegać będzie m. in. na tym, że Clinton nie tylko nie ma ambicji stawienia owemu „military-industrial complex” jakiegokolwiek oporu – ona ma ambicję realizowania z zapałem jego interesów.

W takim kontekście przejście Brazylii z obozu oporu do obozu sojuszników USA będzie oznaczało ogromną zmianę w globalnym układzie sił. Waszyngton będzie się czuł jeszcze bardziej bezkarny i uprawniony do traktowania całego świata jako przestrzeni dla realizacji swoich „wizymisję”. Biorąc pod uwagę desperację, z jaką amerykańskie elity dążą do utrzymania imperialnej pozycji Stanów Zjednoczonych, pociągnąć to będzie mogło za sobą tylko coraz więcej wojny w kolejnych częściach świata, a także bardzo prawdopodobną serię kolejnych prawicowych zamachów stanu w Ameryce Łacińskiej i kto wie, gdzie jeszcze.

Jednak Dilma Rousseff ciągle może jeszcze wrócić do władzy. Wielu Brazylijczyków, z którymi rozmawiałem, nie traci w tej kwestii optymizmu. Będzie to jednak możliwe tylko, jeśli pani prezydent odzyska poparcie najbardziej lewicowej części brazylijskiego społeczeństwa, zmobilizowanej w masowych ruchach rozciągających się od tych, które reprezentują rolników bez ziemi, przez związki zawodowe, po te, które żądają darmowego transportu publicznego. Poparcie to utraciła wskutek szeregu „realistycznych kompromisów”, które z czasem stały się znakiem rozpoznawczym jej prezydentury, a już zwłaszcza jej drugiej kadencji, a także wskutek kryminalizacji masowych protestów społecznych w 2013. Miliony Brazylijczyków mogą jeszcze dosłownie zamieszkać w jej obronie na ulicach

miast, wokół i na korytarzach rządowych budynków, dopóki nie upadnie bezprawny rząd Temera, jeśli Rousseff odważnie przesunie swoją „agendę” ostro w lewo. Tam się przecież wszystko dla niej zaczęło – w młodości stawiała czoła prawicowej dyktaturze, zaciągając się do marksistowskiej partyzantki. Możliwy jest jeszcze jeden scenariusz – nowe wybory, a w nich powrót Luli da Silvy do aktywnej polityki, jako kandydata na ponowną kadencję prezydencką.

Autorstwo: Jarosław Pietrzak

Źródło: MediumPubliczne.pl